

P R O J E K T
H A I L
M A R Y



A N D Y
W E I R

DWA ŚWIATY, KTÓRYM GROZI ZAGŁADA. JEDEN CZŁOWIEK,
KTÓRY MOŻE JE OCALIĆ. TAKĄ FANTASTYKĘ KOCHAM.

GEORGE R. R. MARTIN

[RECENZJA] "Projekt Hail Mary" Andy Weir

nimfa bagienna

Pół na pół

Parę ładnych lat temu światło dzienne ujrzała książka Andy'ego Weira „Marsjanin” i pomimo wielu niedociągnięć techniczno-technologicznych, jakie w niej się pojawiły, ogromnie mi przypadła mi do gustu. Wizja człowieka, który został porzucony (nieważne, że wskutek pomyłki) na jałowej planecie, gdzie powietrze nie nadaje się do oddychania i nie rośnie nic jadalnego, a mimo to nie załamuje się, tylko wymyśla i wprowadza w życie strategię przetrwania, podbiła moje serce. Druga książka Weira, „Artemis”, nie wywołała już u mnie takich emocji, była to tylko sprawnie napisana, ciekawa, dziejąca się w nieodległej przyszłości przygodówka. Nie wiem, co obiecywałam sobie po trzeciej powieści tego pisarza, „Projekt Hail Mary”. Pewne jest jedno: czegokolwiek oczekiwałam, dostałam to w połowie.

Do połowy czytałam książkę z zapartym tchem. Problem porozumienia się przedstawicieli dwóch odmiennych cywilizacji zawsze mnie fascynował, tym bardziej że mam wątpliwości, czy w ogóle jest możliwy. Nie, nie ze względu na różnice biologiczne czy technologiczne, lecz z uwagi na diametralnie różny system wartości, jaki mogą mieć przedstawiciele obu stron.

Sytuacja w „Projekt Hail Mary” jest o tyle jasna, że bohaterowie, zarówno Ryland Grace, jak i Rocky, mają dwa nadrzędne cele i są one tożsame dla nich obu. Po pierwsze, przeżyć, po drugie, znaleźć sposób na uratowanie swojej cywilizacji. I dopóki fabuła dotyczy ich prób nawiązania kontaktu, wstępnych ustaleń oraz początków rozwiązania problemu, jest dobrze: dostajemy spójną, w miarę oryginalną i przykuwającą uwagę historię. Niestety od połowy już tak dobrze nie jest.

Dlaczego? Bo Rocky, pomimo że jest „wytworem” społeczeństwa kompletnie odmiennego niż nasze, jest ludzki. Stuprocentowo ludzki. Boi się zasypać sam, lubi towarzyską konwersację, wstydzi się, że jego sposób odżywiania się jest mało schludny, odczuwa całkowicie ludzkie zagubienie, a jego przyjaźń z Rylandem Grace'em nie nosi piętna obcości. Przedstawiciele obu cywilizacji różnią się tylko fizycznie, psychicznie zaś nie mają problemu ze zrozumieniem się, z ustaleniem hierarchii wartości, z oceną swych intencji... z niczym. Zaczynają zachowywać się jak dwaj panowie na zepsutej łąbie daleko od brzegu: ty tu przytrzymaj, a ja to dokręcę. Mam wrażenie, że w intencji autora to wspaniałe porozumienie miało być odzwierciedleniem przesłania, że dogadać może się każdy z każdym, jednak w mojej ocenie to wada. Rywalizacja jest nieodłączną składową stosunków dwóch istot, nawet jeśli są to istoty ludzkie, które się lubią i są zjednoczone wspólnym celem. Między Rylandem a Rockym niczego takiego nie ma - i przez to ich stosunki rażą sztucznością, przynajmniej mnie.

Druga część powieści, czyli wydarzenia, jakie rozgrywają się już po - wydawałoby się ostatecznym - pożegnaniu obu bohaterów ma jeden doskonały punkt, który jednocześnie jest jednym ze słabszych momentów książki. Jest nim dylemat Rylanda, który musi podjąć decyzję o potężnym ciężarze gatunkowym: wracać czy zawracać. Z jednej strony każde rozwiązanie jest dobre, ale z drugiej... każde jest złe. Tego rodzaju decyzja, jaką musi (musi - nie ma innego wyjścia!) podjąć Ryland, powinna przyprawić go o stupor, chorobę psychiczną, obsesję, koszmary - a prawdopodobnie wszystko naraz, w końcu przecież jest on tylko człowiekiem i ma określoną wytrzymałość.

Tymczasem astronauta zachowuje się jak pozbawiony refleksji robot. Wybiera wariant i realizuje go, jakby kierował nim ukryty program, a to, jakie dla niego samego są konsekwencje jego wyboru, zdaje się go nie obchodzić. Zachowuje się nie jak człowiek, tylko jak maszyna albo papierowy bohater, który przechodzi do porządku dziennego nad swoim osobistym końcem świata... a to jest nieprawdopodobne. Bo czyni to bez emocji, w które czytelnik może uwierzyć: bez żalu, bez

zadawania sobie pytania, czy postąpił słusznie, bez tego wszystkiego, co stanowi o naszym człowieczeństwie właśnie.

Tymczasem wątek poprzedzający wyprawę, opisujący jej cel, sens, przygotowania i wyłonienie załogi kategorycznie zaprzeczają postawie, jaką zaprezentował Ryland. Jego zachowanie jest niespójne, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że przed wylotem został poddany swoistej modyfikacji. Miałam wrażenie, że autor opisuje dwóch różnych ludzi, i bardzo mi to podczas lektury przeszkadzało. A końcówka wydaje mi się tak nierealna, przesłodzona i po prostu infantrylna, że najchętniej zupełnie wyrzuciłabym ją z pamięci... niestety nie mogę.

Na zakończeniu małe pytanie. Czy ktokolwiek może mi odpowiedzieć, dlaczego nazwa projektu została przetłumaczona w połowie? Dlaczego nie został oryginalny „Project Hail Mary” albo nie przełożono wszystkiego na „Projekt Zdrowaś Mario”? To nie jest tylko moje bezmyślne czepialstwo, w pewnym momencie bohater zastanawia się, czy jego wyprawa ratunkowa była jedyna, czy też może zostały wysłane inne, także pod „religijnymi” hasłami. Bez znajomości przesłania tytułu sens jego dywagacji jest kompletnie niezrozumiały.

Hanna Fronczak